

Adam Poprawa

Laudacja – dla Jacka Podsiadły

Tegoroczna, dzisiejsza nagroda „Kamień” okazuje się doprawdy szczególnym spotkaniem dwóch poetów: jej patrona, Józefa Czechowicza, oraz laureata, Jacka Podsiadły. Jasne, to bardzo różni od siebie autorzy, i pewnie w książkach obu raczej trudno byłoby znaleźć wyraźniejsze powinowactwa. Da się przecież wskazać coś, co uzasadnia takie zestawienie. I nie tylko dlatego, że w tomie *Arytmia* znalazł się wiersz pod tytułem *Imię ojca: Kamień*. Idzie o coś innego. Wiersze Czechowicza przekonująco, zatem, dowodzą, że poezję robi się z krańcowych kontrastów. Z jednej więc strony mamy tę jedyną melodię Czechowicza – nieśpiewną muzyczność, jak rzecz nazwał Wyka – z drugiej zaś niepokój, przecucie katastrofy. Łagodność i mrok. Sielskość i rozpad.

Jedynie melodie Jacka Podsiadły też zasadzają się na różnorodnościach. Wiersze przypominające ciągi dziennikowych zapisów, wiersz notowany – dosłownie – na marginesie gazety i wiersze arcykunsztowne. Energia i znużenie. Przekorność nieledwie sowizdrzalska, żarty, dowcipy, lecz przecież i powaga, a może nawet, mówiąc z rosyjska, sieriozność. Oczywiście, że nie w stylu, spokojnie. Chodzi o pewną istotną zasadniczość, która każe poecie namiętnie szarpać się z Miłozsem czy papieżem, a nawet zauważać wierszem osoby publiczne pośledniego sortu.

Różnica elementarna i zarazem złożona polega zaś na relacji między wierszem i tym wszystkim, co poza nim.

I właśnie wiersz, wiersze Jacka Podsiadły chcą ogarnąć, zagarnąć, wchłonąć wszystko. No, prawie wszystko. Jak u innych wielkich poetów, pojawia się intrygujący paradoks: im więc więcej wszystkiego w wierszach Podsiadły, tym bardziej to wszystko staje się autonomicznym, poetyckim światem, aczkolwiek przepięknie dla czytelnika otwartym; zarazem przecież ten świat, hmm, wcześniejszy, równoległy, pozapoetycki (nie chcę mówić o świecie rzeczywistym, bo poezja też jest rzeczywista, i to jak!) – więc ten świat spoza

wiersza, o dziwo, trwa i dzieje się nadal, jakby nigdy nic, jakby poeta czegoś na ten temat nie napisał. Miłość, książki, przyroda, miasta, polityka nadal rządzą się swoimi, pozapoetyckimi prawami.

A jednak nie do końca.

Kobiety, lektury, drzewa, zwierzęta, przedmioty, życie społeczne – to wszystko zostało naznaczone wierszami Podsiadły. Owszem, iluś ludzi pojawiających się u poety przeczytało jego teksty, ale reszta? Ale ptaki, ulice czy politycy pozostają w stanie raczej obojętnym. Wszystko zostało przecież poezją naznaczone: dla nas, dla czytelników. Tak, Jacek Podsiadło otwiera nas na intensywność wszystkiego. Na ekstatyczną wspaniałość świata – stąd wersety, żeby jak najwięcej złapać i żeby wydłużyć rytm oddechu. Ale i na marną nędzę tego i owego, tych i owych – stąd cudowna, kąśliwa drwina.

Powiedział kiedyś Miłosz, że – aby napisać dobry wiersz – trzeba wiedzieć więcej, niż jest w nim napisane. Najprawdopodobniej to nie tak. Kolejny paradoks: poeta może być mądrzejszy od wiersza tylko wtedy, gdy wie, iż czasem mądrzejszy bywa wiersz.

Każdy mój wiersz ma w sobie coś, czego nie zauważam.

Co jest duszą wiersza.

Do takiego wniosku doszedł autor w *Liście z zanurzonego w fioletowej mgle Poznania do Anny Marii*. W innym natomiast tekście, o wcale znamionym tytule *Niechęć, obrzydzenie*, skonstatował:

uświadamiam sobie, że wszystkie moje wiersze są przecież dedykowane
zaledwie wyobrażeniom,

wyobrażeniom i wspomnieniom. To wiersze poświęcone rzeczom, których nie ma.

No cóż, nicość czyha. Wiersz już to wie, poeta rozpoznaje w nim swoją intuicję.

I rozpoznało się – w tych wierszach, w tym wszystkim – wielu czytelników. Proces trwa.

Na początku lat dziewięćdziesiątych – i nie mówię tego bynajmniej przeciw Marcinowi Świetlickiemu – sporym wzięciem cieszyła się fraza „jestem w nastroju nieprzysiadalnym”.

Jestem w nastroju podsiadłym. Tak natomiast może powiedzieć czytelnik Jacka Podsiadły. I za to najwzruszeniej dziękujemy. Pozostajemy wiecznymi dłużnikami.